



Mira Serafin

Sinobrody

Odkąd pamiętam w mieszkaniu panował półmrok. W zimie matka oszczędzała prąd – paliły się tylko wysokie stojące lampy, nigdy górne światło. W lecie żaluzje były spuszczone do połowy okna, żeby mieszkanie się nie nagrzewało. Mniej więcej od dwunastego roku życia obiecywałam sobie, że kiedy wyjadę z domu na studia, już do niego nie wrócę. Na piątym roku zaszłam w ciążę, a wielka miłość stała się wspomnieniem. Obawiając się zamknięcia w wypalonym, pozbawionym miłości związku wróciłam do ciemnego mieszkania mojej matki. Nigdy nie usłyszałam słowa pretensji czy wyrzutu, przeciwnie, zostałyśmy z Hanią powitane z radością. Nawet ojciec dziecka dostał swoją kanapę z rudym kocem – żeby mógł swobodnie odwiedzać córkę. Matka nieraz powtarzała, że za to, co dla mnie robi, za przyjęcie mnie z dzieckiem i pomoc w jego wychowaniu powinnam z wdzięczności codziennie całować ją po rękach. Że powinnam stulić pysk i cieszyć się, że mam dom, darmową niańkę i możliwość rozpoczęcia pracy. Zgadzam się, a mimo to nigdy nie umiałam się z nią komunikować inaczej niż warcząc.

Mniej więcej kiedy Hania miała roczek poznałam mężczyznę, w którym się zakochałam. Starszy o piętnaście lat, rozwiedziony ojciec dwójki nastoletnich dzieci. Dojrzały i rozważny. Kiedy powiedziałam o nim matce, usłyszałam to, co zwykle. Że to nie jest czas na romanse i miłości. Że mam mieszkanie, pracę i cudowne dziecko, i na tym powinnam się skupić. Że dla mnie przyjdzie jeszcze czas, a teraz mam zająć się tym, co najważniejsze, czyli wychowaniem Hani. Że ona się na ten świat nie prosiła i należy jej się niepodzielna miłość matki. Że jak ja to sobie wyobrażam, kiedy zamierzam się w ogóle spotykać z tym gościem, skoro pracuję, po pracy czasem mam jeszcze korepetycje, mnóstwo sprawdzianów i prac do poprawiania. Że chyba nie chcę znowu

zajść w ciążę i sprowadzić na świat kolejnego dziecka, które nie uświadczy normalnej rodziny. Przez pół roku po cichu, z ciężącym jak kamień poczuciem winy, spotykałam się z Pawłem na krótkie spacerunki i szybkie obiady po pracy. Raz udało nam się wyjechać na weekend, powiedziałam matce, że jadę na wycieczkę zorganizowaną dla nauczycieli. Nie spałam przez te dwie noce, przed oczami miałam obraz porzuconego, nieszczęśliwego dziecka, które skręca się z bólu w tęsknocie za matką. Czułam, że jestem potworem, skoro dla jakiegoś faceta zostawiłam moje małeństwo. W uszach słyszałam słowa matki, gdyby dowiedziała się, gdzie naprawdę jestem. Że jestem obrzydliwa, skoro wolałam pojechać się z kimś pieprzyć niż tulić swoje dzieciątko, że fuj, ona nie może na mnie patrzeć. I jej łamiący się głos.



foto: Amr Elmasry / Unsplash

I żebym wzięła natychmiast Hanię na spacer, bo dziecko stęskniło się za matką. I żebym więcej nie robiła takich rzeczy.

Po pół roku pełnej ekscytacji, pożądania i poczucia winy znajomości przyprowadziłam Pawła do domu. Kiedy chciał przywitać się z matką, ta obrzuciła go z góry na dół pogardliwym spojrzeniem i wyszła na balkon. Przez kolejne miesiące czułam, jakby mieszkanie nappełniło się jakimś dziwnym światłem. Razem z Pawłem i Hanią jeździliśmy na wycieczki albo zostawaliśmy u nas lub u niego i budowaliśmy ciuchcie, wieże i zamki z drewnianych klocków. Ten czas wypełniał głośny, szczerzy śmiech Hani. Matka gdzieś zniknęła. Kiedy wchodziłam do kuchni, wydawało mi się, że oglądam niemy film – aktor robi dziwne miny i przewraca oczami, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Zanim pojawiły się napisy, wyjaśniające, co chciał przekazać, zdążyłam już zmienić program.

Kiedy przyszła wiosna, Paweł zaczął więcej pracować. Potem nagle zgłosił się do poprawiania matur. Byłam zaskoczona, bo zawsze twierdził, że ta robota się nie opłaca. Potem jego córka Natalia miała jakieś problemy z chłopakiem, więc chciał z nią spędzić więcej czasu. Proponowałam, żebyśmy gdzieś pojechali wszyscy razem, ale on tłumaczył mi, że to jest między nim a jego córką. W maju spędziliśmy razem nie więcej niż pięć dni. Wiezorami, kiedy Hania już spała, chodziłam po kuchni i szukałam słodyczy albo co chwilę wychodziłam na balkon. Potrafiłam w jeden wieczór spalić paczkę papierosów. Próbowalam dodzwonić się do Pawła, ale on nie odbierał, tylko odpisywał, że zadzwoni jutro, że mnie kocha i żebym się nie martwiła, bo po prostu jest zavalony robotą. Matka zamykała się w swoim pokoju – kiedy chciałam z nią porozmawiać, mówiła, że przez ostatnie miesiące to ja byłam ciągle zajęta, więc teraz ona ma swoje sprawy. Raz, kiedy stała w kuchni i widziała, jak pochłaniam kolejne porcje czekolady zapytała z uśmiechem, czy teraz dam sobie spokój z romansami, bo widzę, jak to się wszystko kończy. Że kiedyś spotkam mężczyznę, który się ze mną ożeni, a do tego czasu powinienam się zająć Hanią i pracą. Że może faktycznie mogłabym zacząć pisać doktorat, że w zasadzie ona mogłaby mi pomóc przy dziecku. Tylko że to by wymagało ode mnie dyscypliny i samozaparcia, a nie znowu szukania sobie miłości.

Dokładnie dwanaście lat temu matka stała w tym samym miejscu w kuchni, z tym samym uśmiechem. Wróciłam wtedy zapłakana z nocowania u koleżanki, na którym dziewczyny zaczęły mnie wypytywać, dlaczego nie mam ojca i zastanawiać się, jak się nazywa taka sytuacja.

Jedna powiedziała, że jej matka mówiła, że jestem sierotą. Powiedziałam rodzicom Izy, żeby zadzwonili do mojej mamy i poprosili ją, żeby przyjechała. Potem matka pocieszała mnie, tuliła i nawet zamówiła pizzę. Powiedziała mi też, żebym dała sobie spokój z szukaniem towarzystwa, tylko zajęła się nauką, bo jestem mądra i utalentowana. Że te dziewczyny nie dorastają mi do pięt, tylko muszę w końcu uwierzyć, że szczęścia nie znajdę uzależniając się od ludzi. Poł roku później wygrałam ogólnopolski konkurs na opowiadanie w języku obcym. Matka była ze mnie dumna.

Ktoregoś wieczoru stałam na przystanku w wiosce pod miastem, gdzie miałam uczennicę i czekałam na spóźniający się autobus. Było ciepło i cicho, nikt nie czekał razem ze mną. Niedługo zaczynało się lato i mimo późnej pory, zmierzch jeszcze nie zapadł. Spokój otoczenia jeszcze wzmacniał moje wewnętrzne rozedrganie. Czułam, jakby coś w środku nie chciało już wytrzymać i siedzieć spokojnie. Jakaś mała dziewczynka ubrana w białe podkolanówki i różową sukienkę w kwiatki stoi grzecznie obok mamy w kościele, panie siedzące obok posyłają jej pełne zachwyty spojrzenia, mama, dumna ze swojej córki głaszcze ją po elegancko uczesanych włosach, a ona nagle zaczyna płakać, krzyczeć, wrzeszczeć, potem zdiera z włosów gumeczki ozdobione kwiatkami i rzuca nimi w matkę. Wszyscy patrzą zażenowani. Młodsze kobiety posyłają kobiecie pełne współczucia spojrzenia, starsze patrzą z niesmakiem, ktoś z boku mówi, żeby matka wyprowadziła z kościoła małą furiatkę, bo inni chcą się tu modlić. Albo niepewna nastolatka, siedzi przy stoliku w pubie na pierwszej randce w życiu. Powiedziała chłopakowi, że napiłaby się coli, a on przynosi jej piwo i mówi, że po odrobinie alkoholu będzie się im lepiej gadało, ona wypija łyk, potem drugi, czuje w ustach gorzki smak i nagle, nie wiadomo dlaczego oblewa chłopca przyniesionym przez niego piwem i wychodzi. Potem płacz, bo wie, że on już nie zadzwoni.

Autobus był pusty, jechał szybko – o tej porze na ulicach nie ma już ruchu. Miałam wrażenie, jakby wszystko i wszyscy poszli już spać, tylko ja po coś wyszłam na ulicę, gdzieś bez sensu jechałam, potem szłam. Minęłam mieszkanie matki, nie mogłam wrócić do tego mroku i wyciągniętych łapek Hani, nie zniosłabym jej uścisku. Usiadłam w ogródku jakieś knajpki i zamówiłam największą pizzę. Słyszałam, jak w torebce dzwoni telefon, ale coś nie pozwalało mi po niego sięgnąć. Jadłam powoli, a może szybko, musiałby to ocenić ktoś siedzący obok – dla mnie czas na przemian zwalniał i przyspieszał między małą

dziewczynką w różowej sukience, a nastolatką z nierówno ostrzyżonymi włosami, zahaczając o jakieś pośrednie formacje bez biustu, z biustem, ważące 30, 50, 65, znowu 50, 70, 60 kg. Czułam w ustach ostry smak pizzy, wiedziałam, że moje zęby rozszarpują kawałki mięsa, a ślina robi z ciasta bezkształtną papkę, ale brzuch i żołądek pozostawały puste. Jakby jakimś cudem oddzieliły się od reszty ciała. Patrzyłam tępo przed siebie i pochłaniałam kolejne kawałki. W pewnym momencie moje palce natknęły się tylko na gładką powierzchnię talerza. Kiedy wstałam, poczułam, jak ciężka się zrobiłam. Brzuch rozsadzał wąską sukienkę, jedzenie podchodziło do gardła.

Niepewnie ruszyłam w stronę centrum miasta. Moja świadomość chyba ostatnia dowiedziała się, gdzie idę. Musiałam wyglądać okropnie, kiedy stanęłam przed Pawłem w jego przedpokoju, bo gdy tylko mnie zobaczył, zapytał, czy jestem pijana. Przez chwilę staliśmy bez słowa, a potem wylała się ze mnie cała kaskada żalu, pretensji, rozpacz, szłochu i wściekłości. On nie chciał rozmawiać, powiedział, że najpierw muszę się uspokoić. Próbował odprowadzić mnie do drzwi, ale wyrwałam się i żądałam odpowiedzi, określenia, nazwania, zdefiniowania tego, co jest między nami. Usłyszałam, że potrzebuję go tak bardzo, że on czasem nie może tego znieść, że czuje litość i pogardę jednocześnie, i wtedy muszę mu zniknąć z oczu, żeby te uczucia mogły się schować, bo inaczej musiałby mnie znienawidzić. W jego oczach była złość i czułość jednocześnie, jakby chciał mnie przytulić, ale wiedział, że rozkapryszonemu, roszczeniowemu dziecku trzeba postawić granice. Odwróciłam się i wbiegłam do łazienki. Zanim zdążyłam dobiec do ubikacji, z moich ust wypłynęła kaskada śmierdzących wymiocin. Paweł stał w drzwiach i patrzył na mnie z obrzydzeniem. Wstałam, spojrzałam na jasne płytki pokryte gęstą, cuchnącą zawiesiną, odwróciłam się i wyszłam.

Obudziłam się w pustym pokoju. Hania musiała już pójść do matki. Wiedziałam, że zaraz usłyszę, że wróciłam późno, a dziecko całe popołudnie na mnie czekało, że powinnam przynajmniej wstać wcześniej, skoro mam wolny dzień i wziąć Hanię na spacer, że ona jak zwykle musiała zrobić mojej córce jeść, mimo że jest stara i zmęczona, że chyba sobie nie wyobrażam, że na wakacjach też tak będzie, że wakacje to czas, kiedy nie mam pracy i w całości powinnam ten czas poświęcić dziecku.

W mieszkaniu matki żyłam w dwóch światach. Jeden był ciemny, ze słabo świecącymi lampami i spuszczoneymi

nisko żaluzjami – tu wciąż rządziła matka, a ja nigdy nie byłam dość dobra, niezależnie od tego, ile konkursów z języków obcych i matematyki wygrałam między dwunastym a osiemnastym rokiem życia, niezależnie od bardzo dobrych wyników na studiach, a potem opinii zaangażowanej i kompetentnej nauczycielki angielskiego i hiszpańskiego w dobrym liceum, bez względu na to, z jaką troską i oddaniem zajmowałam się moją małą córeczką. W oczach matki zawsze za bardzo uzależniałam się od ludzi i za bardzo pragnęłam miłości mężczyzny – to oznaczało, że jestem słaba i żalosna, i że marnuję swój wielki talent. Ale był też drugi świat – ten był jasny i pogodny, wypełniony świetlistym śmiechem, tu byłyśmy tylko ja i Hania. Mogłam wysłuchiwać nieustannego utyskiwania matki, wiedząc, że za chwilę zamkną się drzwi do naszego – Hani i mojego – pokoju albo wsadzę ją do kolorowego wózka i pójdziemy na długi spacer po parku. Kiedyś, podczas jednej z wizyt ojca Hani, siedzieliśmy razem na kanapie i zachwyceni wsłuchiwalismy się w jej radosny śmiech. Zapytał wtedy, czy nie żałuję, czy gdybym mogła, cofnęłabym czas. Bez wahania odpowiedziałam, że nie, że kiedy jestem z naszą córeczką, nawet ta ciemna klatka nie jest tak straszna. Po raz kolejny zapytał, czemu nie chcę się przeprowadzić z powrotem do Torunia, że przecież on tam będzie i zajmnie się Hanią, a ja na pewno znajdę pracę, tak jak tu znalazłam. Wtedy przypomniałam sobie ten potworny lęk, kiedy jeszcze przed poznaniem Pawła znalazłam mieszkanie do wynajęcia i chciałam się tam przenieść. I słowa matki, że jako młoda nauczycielka nie utrzymam się z dzieckiem i przyjdzie w końcu opieka, i mi je zabiorą, i że u niej mam wszystko i powinnam się cieszyć, a nie zawracać sobie głowę, i że póki ona żyje, mogę jeszcze napisać doktorat, bo potem, to już nikt mi nie pomoże. Doktorat był mi obojętny, mieszkać mogłam w małej klitce, ale ta myśl, że ktoś mógłby mi zabrać Hanię! Więc żyłam z matką i oszczędzałam każdy grosz. Jakaś racjonalna część mnie wiedziała, że te moje lęki są bzdurne i nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Bywały takie chwile, kiedy czułam to bardzo mocno, kiedy byłam świadoma swojej siły i nie potrzebowałam nikogo, kto by to potwierdził. Ale potem, jakbym się kurczyła, karłała. Strach powoli rozchodził się po moim ciele jak trucizna, w końcu myślałam tylko o jednym, żeby usiąść z matką przy stole, napić się herbaty i opowiedzieć, co dobrego i wartościowego dziś zrobiłam, a ona może w końcu powie, że to już ostatnie zadanie, które przede mną postawiła i teraz jestem już wolna.

Nie chciałam myśleć o tym, co stało się wczoraj. Wstałam i poszłam do kuchni. Hania z matką mieszały coś w garnku, chyba ciasto na naleśniki. Przy stole siedział Paweł i pił kawę. Matka i on po raz pierwszy razem w jednym pomieszczeniu. Matka powiedziała, żebym włączyła Hani piosenki i wsadziła ją do kojca, i przyszła z nimi porozmawiać. Okazało się, że powinnam być wdzięczna Pawłowi, bo po tym, co poprzedniego wieczoru zrobiłam, każdy normalny chłop by mnie zostawił, ale że on chce mi pomóc, bo widzi, że coś się ze mną dzieje, że ona – matka – opowiedziała mu o mnie, że od dziecka byłam dziwna i kłopotliwa, że muszę przestać osaczać Pawła i zająć się swoją pracą naukową, a oni będą pilnować, żebym nie rozpraszała się i panowała nad emocjami, że Paweł z dziećmi jadą na dwa tygodnie na Mazury, i jeżeli będę opanowana i spokojna, być może będę mogła z Hanią do nich dołączyć na dwa, trzy dni, i żebym teraz szybko się ubrała, bo pojedziemy wszyscy razem pochodzić gdzieś po lesie, żeby się uspokoić, a potem mam dać Pawłowi spokój już do końca roku szkolnego, bo będzie miał huk roboty.

W *Białych nocach* Dostojewskiego jest Nastienka, którą babcia przypina agrafką do swojej sukni, żeby ta nie mogła jej nigdzie uciec. Ale Nastienka skrycie prosi lokatora, żeby ją zabrał od babki, a potem co noc wychodzi na most i na niego czeka. Żebym ja chociaż mogła na coś czekać! Żebym mogła mieć nadzieję, że coś się zmieni, że jest ratunek, wyjście, choćby wąski podziemny tunel, przez który mogłabym przejść na drugą stronę! A teraz jest już nie jeden, ale dwóch strażników, rzucają sobie klucz do mojej klatki i śmieją się szyderczo. Karmią mnie ptasim mleczkiem i bezą, żeby potem smakować co tłustsze kawalki. Matka i Paweł przy suto zastawionym stole, wgrzają się w soczyste mięso, miękkie owoce, a przed nimi danie dnia – skrzepowana sznurami, bo jeszcze się rusza, zakneblowana czerwonym jabłkiem, potrawka z kogoś, kto kiedyś był córką i kochanką.

Kiedy Paweł odwiózł nas do domu, zapytałam, czy wejdzie na kolację. Powiedział, że musi jechać. Zapytałam, czy pójdziemy do kina, bo wchodzi parę dobrych filmów. Powiedział, że słyszałam, że do końca roku szkolnego muszę mieć czas dla siebie, żebym nie zaczynała znowu prosić, bo robię się w tym żalosna. Przytuliłam się do niego, a on pocałował mnie krótko, wsiadł do samochodu i odjechał. Nie chciałam spojrzeć na matkę. Wiedziałam, że w jej twarzy zobaczę satysfakcję. Zacisnęłam usta

i weszłam do mieszkania z Hanią na rękach. Zamknęłyśmy się w pokoju. Gdybym mogła, postawiłabym za moimi drzwiami wielki mur. Albo najlepiej zamurowałabym matkę w jej ciemnym pokoju, żeby poczuła się jak ja. Słuchałabym jej krzyków, prośb, błagań, drapania w ściany, wyobrażałabym sobie, że jej ręce od uderzania w twardą cegłę są już podrapane do krwi. I powiedziałabym jej, że, jeżeli będzie spokojna i opanowana, to na dwa, trzy dni ją wypuszczę.

Kiedy Hania zasnęła, położyłam się, ale wściekłość nie pozwalała mi zasnąć. Nie mogłam wyjść do kuchni ani na balkon, bo natknęłabym się na matkę. Leżałam w ciemności letniej nocy. Wzięłam telefon, żeby napisać do Pawła, żeby raz jeszcze poprosić o jego miłość, żeby znowu upokorzyć się i wywołać w nim odrazę, obrzydzenie, wstręt. A potem nagle palce same wybrały zupełnie inny numer.

Kiedys w Toruniu, w letnie wieczory, kiedy czułam cudowną, nieskrępowaną wolność, chodziłam na długie spacer po mieście. Czasem zatrzymywałam się w zatłoczonych knajpach i chłonełam woń przyjemności, zapomnienia, zmysłowego flirtu, zabawy z własną cielesnością. Kiedy siedziałam sama przy stoliku, przy szklance mrozonej herbaty, podchodzili do mnie różni ludzie. Niektórzy myśleli, że szukam szybkiego seksu. Nie szukałam. Kilka razy jednak ciekawość zwyciężyła i szłam do oddalonego zaledwie o parę przecznic mieszkania z jakimś przystojnym lub brzydkim brunetem albo blondynem. Nie umiałam rozpać w swoim ciele ognia podczas tych krótkich chwil udawanej ekstazy. Ale odnajdywałam w tym wolność. Czułam, że moje sprężyste ciało należy do mnie, że mogę z nim zrobić, co chcę – być może nie mogłam się zatracić w cielesnej przyjemności, żeby go nie utracić na rzecz jakiegoś obcego człowieka.

Pewnego wieczoru zaczęłam rozmawiać z przystojnym mężczyzną w średnim wieku, który następnie przedstawił mnie swoim znajomym. Wtedy poznałam Marka. Potem, kiedy o nim myślałam, nie byłam w stanie przypomnieć sobie, jak wyglądał. Nie umiałabym nawet powiedzieć, czy mi się podobał czy nie. Zapamiętałam tylko wrażenie. Kiedy opowiadał dowcip i nikt się z niego nie śmiał, on nie mógł powstrzymać się od głośnego śmiechu. Jakby to, co myślą inni nie istniało, nie liczyło się. Kiedy się nudził, po prostu wstawał i wychodził – bez żadnych tłumaczeń, bez przeprosin, bez spotkamy się wtedy i wtedy. Kiedy podobala mu się jakaś dziewczyna, podchodził i zaczynał z nią tańczyć. Kiedy stałam blisko i słyszałam, jak jedna powiedziała mu, że przy stoliku siedzi jej chłopak. Powiedział,

że szkoda i tańczyli dalej. Widywaliśmy się co parę miesięcy przez trzy kolejne lata. Któregoś razu wymieniliśmy się numerem telefonu – ani on ani ja nigdy nie zadzwoniliśmy. Parę razy ze sobą tańczyliśmy, ale nie sądzę, by on mógł to pamiętać.

Tej nocy, kiedy leżałam w wypełnionym ciemnością i oddechem Hani pokoju, zadzwoniłam do Marka. Zdziwiłam się, że odebrał telefon i że mnie pamiętał. Nie umiałam mu wytłumaczyć, dlaczego właściwie odzywam się w nocy, parę lat po tym, jak się ostatni raz widzieliśmy. Może usłyszał moją rozpacz i wściekłość, a może po prostu tak miał, ale zaprosił mnie do siebie. Powiedział, że mieszka w Gdańsku, a więc jakieś pięćset kilometrów ode mnie, ale że co tam, żebym przyjechała.

Przy śniadaniu powiedziałam matce, że w Trójmieście są dni literatury iberyjskiej i że pojedę, żeby nawiązać jakieś kontakty, może spróbuję się w tłumaczeniu, generalnie, że wyjeżdżam zaraz po zakończeniu roku szkolnego, czyli za pięć dni.

Po apelu dyrektora, jak gdyby nigdy nic wyszłam z sali gimnastycznej. Na korytarzu złapał mnie Paweł, poprosił żebym zaczekała na niego po rozdaniu świadectw, to pójdziemy na jakiś obiad. Kiedy popatrzyłam mu w oczy, poczułam, jakbym go nigdy nie spotkała, jakby przede mną stał zupełnie obcy mężczyzna. Nie czułam już wobec niego złości, nie czułam też miłości, tęsknoty, nie miałam ochoty, żeby mnie tulił i całował, jak to było zazwyczaj podczas naszych spotkań. Czułam się jak Kaj, którego serce staje się bryłą lodu, obojętne, zamrożone, bez uczucia. Nie myślałam o rozstaniu z Pawłem, chciałam założyć z nim rodzinę, razem zamieszkać i wychowywać wspólne dzieci. Tylko czułam się tak, jakby wyrwano mi ząb, a dziąsło było cały czas znieczulone. Odparłam, że przykro mi, ale nie możemy się spotkać, bo zaraz po wyjściu ze szkoły jadę nad morze, że to takie krótkie, trzydniowe wakacje, żeby się trochę uspokoić, że wymyśliłyśmy to z mamą, bo faktycznie nie-dobrze było ze mną ostatnio.

Wróciłam do domu tylko po to, żeby się przebrać i ucałować Hanię – nie będziemy się widziały przez trzy dni. Włożyłam luźne lniane spodnie i sandały dla wygody – czekało mnie kilka godzin w samochodzie. Spakowałam się do niewielkiego plecaka, tylko kosmetyki i dwie lekkie sukienki. Wzięłam Hanię na ręce i przytuliliśmy się mocno. Powiedziałam, że za dwa dni wracam i że w tym czasie będzie się bawić z babcią. Ale ona nie chciała mnie puścić. Zazwyczaj, kiedy wychodziłam z domu była spokojna, jakby

wiedziała, że za chwilę do niej wrócę. Często stała z matką w oknie i machała mi z uśmiechem. Tym razem oplotła moją szyję mocno ramionkami i zaczęła bardzo głośno płakać. W pewnym momencie płacz stał się tak intensywny, że Hani trudno było złapać oddech. Wtedy matka kazała mi natychmiast wyjść i nie drażnić malej. Jednym stanowczym ruchem oderwała ode mnie dziecko. Szybko otworzyłam drzwi i wybiegłam na korytarz. Schodząc, nadal słyszałam rozpaczliwy, spazmatyczny płacz. Zanim wsiadłam do samochodu, spojrzałam w okno. Matka stała trzymając na rękach wyrrywającą się do mnie Hanię. Jej mała buźka była wykrzywiona grymasem okropnego żalu i smutku. Na moment zawahałam się – po co wybieram się na drugi koniec Polski, do człowieka, którego tak naprawdę wcale nie znam i zostawiam w rozpacz kogoś, kto mnie kocha i potrzebuje?! Co za pustka jest we mnie, niepozwalająca mi żyć w codzienności i realności, być niezależną i wolną, obdarzać miłością kogoś, kto tej miłości potrzebuje jak tlenu? Zrobiłam szybki zwrot na pięcie i już byłam w samochodzie, a za chwilę wyjeżdżałam z dusznego, ciasnego osiedla.

Nie chciałam o niczym myśleć i niczego czuć. Przez te ostatnie dni czucie bolało jak cięcie skóry nożem. Ostry, piekący ból. Ból, który wyrывa ze snu w środku nocy, a potem nie daje zasnąć, który otumania swoją ogarniającą całe ciało i umysł mocą, i który niespodziewanie przywraca do rzeczywistości, przywołując na myśl ostatni grymas twarzy Pawła, dziką satysfakcję w oczach matki, szloch i rozpacz na malutkiej twarzy Hani. Przez całą drogę do Warszawy łzy nieprzerwanie ciekły mi po twarzy, na policzkach czułam ich ciepło, a w ustach słony smak. Raz zatrzymałam się w przydrożnym McDonalddie, zamówiłam hamburgera i frytki, ale nie mogłam nic przełknąć. Żołądek domagał się pokarmu, umysł mówił, że na niego nie zasłużyłam. Kobieta, która zostawia skręcające się w rozpacz dziecko nie zasługuje, żeby jeść. Zasługuje tylko na słony smak łez. Kiedy wyjeżdżałam z parkingu, na chwilę oprzytomniałam. Pomyślałam, że jeżeli natychmiast nie zawrócę, zniszczę wszystko. Jeżeli teraz pojedę do tego obcego, ekscytującego mężczyzny, dla którego nic nie znaczę, nie będzie już powrotu do Pawła. Mimo wszystko włączyłam kierunkowskaz w prawo i dalej jechałam na północ. Kiedy za Warszawą wjechałam na autostradę, odłączyłam się. Jakby wywalilo korki. Być może siła przekazywania impulsów w komórkach nerwowych była w ostatnim czasie tak duża, że coś się przepaliło. Twarz i oczy wyschły, po łzach został tylko słony posmak na ustach i piekące laskotanie

na policzkach. Nie myślałam o tym, co było moim życiem jeszcze dziś rano. Ból zniknął. Podkręciłam na maksa lecącego z płyty Franka Zappę. W jego szalonych piosenkach nie było emocji, tylko jakaś bezsensowna płatanina, rozedrganie, burza, huragan. Czułam się jak ta muzyka. Wcisnęłam mocno pedał gazu, błyskawicznie zmieniałam pas; prawy – lewy – wyprzedzam – prawy – lewy – wyprzedzam – prawy, jakbym robiła jakieś szalone wężyki, silne, głośne, kolorowe. Pomyślałam, że jeżeli ktoś z lewego pasa na mnie najedzie, kiedy zaczynam wyprzedzać, to przy tej prędkości nawet nie poczuje, jak umieram, że może nawet już umarłam, dlatego nie czuję bólu. Ta myśl spowodowała jakiś gwałtowny wybuch śmiechu, przez kilka, kilkanaście albo kilkadziesiąt kilometrów jechałam, nie mogąc przestać się śmiać. Stałam się głośną, chaotyczną kakofonią dźwięków.

Drogę z Warszawy do Gdańska przejechałam w jakieś trzy godziny, nie zapominając w międzyczasie zatankować. Po wysokich, krętych schodach starej kamienicy weszłam do mieszkania praktycznie obcego mężczyzny. Wszystko, co czułam dziś rano, wczoraj, w zeszłym tygodniu zniknęło, była we mnie tylko dzika ekscytacja, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy szłam do kina i to w dodatku na „Gwiazdne wojny”. Wielka sala, światło nagle gaśnie, głośna, intensywna muzyka. Kiedy pojawia się Lord Vader znikam z fotela i staję się częścią wydarzeń na ekranie. Mieszanina ciekawości i lęku, a przecież może się tu wydarzyć wszystko, bo to i tak nie dzieje się naprawdę.

Mieszkanie Marka było zaskakująco duże, jeśli wziąć pod uwagę, że mieszkał w nim sam. Długi korytarz, z którego wchodziło się kolejno do: łazienki, kuchni, sypialni i małego saloniku, prowadził do przestronnej pracowni. Było to surowe pomieszczenie z kamienną posadzką i brudnymi ścianami. Pod dużym, zasłoniętym czarną zasłoną oknem, stały wielkie płyty podmodelowe, narzędzia, których nigdy wcześniej nie widziałam, kilka modeli betonowych lamp – najnowszego dzieła Marka. Na biurku leżały jakieś szkice, rozrzucone ołówki. Pod ścianą stał stary, jakby z zeszłej epoki, aparat fotograficzny. Ale to, co najbardziej przykuwało uwagę w tym ekscentrycznym mieszkaniu to fakt, że każde pomieszczenie było inne od poprzedniego, jak w Akademii Pana Kleksa – każde drzwi prowadziły do innej bajki. Kuchnia była brudna, na stołach i blatach połyskiwały plamy starego tłuszczu, w kątach i oknach wisiały ogromne pajęczyny, w zlewie piętrzyły się nieumyte naczynia. Pomyślałam, że nie wyobrażam sobie,

że mogłabym w takiej kuchni coś zjeść, samo przebywanie w niej wywoływało we mnie obrzydzenie. Natomiast kiedy weszłam do saloniku, poczułam się jak w muzeum. Wszystko było nieskazitelnie czyste, czułam, że nie powinienam dotykać tak wypielegnowanych eksponatów. Nad stojącym pod ścianą, czarnym fortepianem wisiał portret pięknej kobiety o bardzo smutnych oczach. Marek powiedział, że przedstawia on jego matkę.

Właściciel dziwnego mieszkania też wywoływał we mnie sprzeczne uczucia. W jego niedbałości, rozwichrzonych włosach, których koloru nie umiałabym określić było coś pociągającego, może chodziło o ten rodzaj swobody i lekceważenia dla ogólnie przyjętych norm, na które sama nigdy nie mogłabym sobie pozwolić. Jednocześnie jednak, kiedy podszedł, żeby mnie pocałować, poczułam coś w rodzaju wstrętu. Odwróciłam twarz i powiedziałam, że chciałabym się położyć.

Wybrałam niezbyt szerokie łóżko w małym saloniku, bo jego tradycyjne, staroświeckie umeblowanie z wiszącymi w oknach firankami i haftowanym obrusikiem na stoliku dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Jak wtedy, kiedy jako mała dziewczynka zostawałam czasem na wakacjach u dobrej, czulej babci. W małym domku z czerwonej cegły, gdzie wszystko było stare, dziwne, jakby zawieszone w czasie, mogłam zapomnieć o tym, że za parę dni przyjedzie po mnie matka i zabierze do ciemnego dusznego mieszkania w mieście.

Ubrałam się w dużą, spraną podkoszulkę Marka i zasnęłam. Śniła mi się moja stara szkoła. Szłam jej długimi jasnymi korytarzami z matką i niosłam wielki wiklinowy kosz, taki w jakich indyjscy fakirzy trzymają kobry. Przed nami pełzł wąż, co o dziwo nie wywoływało w nas strachu, był to bowiem wąż łagodny. Nagle, nie wiedzieć czemu, z kosza, który niosłam, wypuściłam drugiego węża, tym razem niebezpiecznego i jadowitego. Ten był szybki i zwinny, więc łatwo zniknął nam z oczu. Matka zaczęła krzyczeć, żebym złapała gada i zamknęła go w koszu, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić – chwytając go, naraziłabym się na ukąszenie. Obudziłam się spocona i przestraszona. Marek siedział na krześle przy stoliku. Kiedy otworzyłam oczy, wstał, podszedł do łóżka i położył się obok mnie. Nie protestowałam, tylko odwróciłam się do niego tyłem, a on mnie przytulił i tak spaliśmy do późnego poranka.

Widział, co się ze mną dzieje, że budzę się przestraszona, a potem przez kilka minut przewracam niespokojnie, zanim znowu na chwilę zapadnę w płytki, krótki sen. Mimo

to nie pytał o nic i nie wracał do tamtej nocnej rozmowy, kiedy tak niespodziewanie wybrałam w telefonie jego numer. Być może czuł, że teraz, kiedy jestem tu, na drugim końcu Polski, tamto zniknęło, że mocą mojej świadomości chcę zrobić wszystko, aby się od tego odciąć, a być może po prostu nie chciało mu się pytać, bo ja mało go obchodziłam. Tego dnia pojechaliśmy na plażę do Sopotu. Cały dzień chodziliśmy wzdłuż brzegu morza, milcząc. Momentami wydawało mi się, że Marek jest nierealny, że wymyśliłam go sobie tylko, żeby czuć się mniej samotnie, jak wtedy, kiedy miałam może siedem lat i pojechałam na jedyne w moim życiu wakacje z ojcem. Mama bardzo mnie zachęcała do tego wyjazdu, może miała nadzieję, że ja i on będziemy mieć dobrą relację, że mimo ich rozstania, on będzie w naszym życiu. Zabrał mnie wtedy do Jastrzębiej Góry, popularnej nadmorskiej miejscowości. Mam z tych wakacji tylko jedno wspomnienie – zawsze, kiedy z jakiegoś spaceru czy wycieczki wracaliśmy do pensjonatu, ja miałam nadzieję, że, kiedy otworzymy drzwi, zobaczę tam mamę, która na nas czeka. Tak bardzo za nią tęskniłam, że w pewnym momencie nawet uwierzyłam, że faktycznie przyjedzie i nie mogłam się doczekać otwarcia drzwi do pokoju.

Samotność i tęsknota mają moc stwórczą. Marka też w pewien sposób sobie stworzyłam. Fizycznie był obecny jak masa innych ludzi, których mijalam, spacerując wzdłuż plaży. Psychicznie istniał w moim wewnętrznym świecie w jakiś dziwny i nienaturalny sposób, jakby olbrzymia pustka przeraziła się sama sobą i wchłaniała coraz to nowe formacje.

Matka miała rację, mówiąc, że uzależniam się od ludzi. Zawsze obrażona i zbuntowana, zarzucająca jej, że ogranicza moją wolność, co chwilę przyklejałam się do następnego faceta albo kolejnej przyjaciółki. Chciałam wypłynąć na wielkie morze, poczuć wokół siebie przestrzeń i nieograniczone możliwości, ale kiedy pojawiała się za dużo przestrzeni, zaczynałam czuć okrutną pustkę.

W pustce emocje i uczucia nie istnieją – jak w pralce, podczas wirowania, nie odróżnisz poszczególnych elementów garderoby – tak tutaj wszystko, co naturalnie znane i nazywalne staje się przypadkową mieszanką, odczuwaną ostatecznie jako nieznośny dygot, bezsensowne machanie skrzydłami, które męczy i wyczerpuje, ale do niczego nie prowadzi.

Wieczorem upiliśmy się. Nie potrzebowaliśmy do tego słów, tylko komputera i Internetu. Kolejno puszczaliśmy piosenki, które akurat przyszły nam na myśl. Beztróscy

zanurzyliśmy się w nierzeczywistość, w której istniała tylko muzyka. Ale kiedy Marek chciał się ze mną kochać, moje ciało powiedziało stanowcze nie. Prawdopodobnie było zdecydowanie bliżej rzeczywistości i nie wierzyło w miłość desperacko stworzoną przez ciągłą samotność. Mięśnie mojej pochwy były tak silnie zaciśnięte, że wdarcie się do wnętrza było niemożliwe. Jak w baśni o Sinobrodym – potwór przebrany w szaty czarującego mężczyzny próbuje się wedrzeć do rodziny, w której są trzy siostry. Dwie z nich sprzeciwiają się, najmłodsza zostaje jego żoną. Pewnie pozwolenie mężczyźnie na wejście do pochwy wywołałoby mniej szkody niż jego dostanie się do umysłu.

Następny dzień był znacznie bardziej rzeczywisty i realny, może przez silne odczuwanie ciała nienawykłego do alkoholu, tym bardziej w takich ilościach. Jechaliśmy na wycieczkę do Łeby, on prowadził, nie było już między nami milczenia. Opowiedziałam mu jak to się stało, że po studiach wyjechałam z Torunia, o moim życiu przy matce i o związku z Pawłem. Marek nie mógł zrozumieć, że można tak po prostu, naturalnie godzić się na życie, jakiego nie chce się wieść. Mówił, że sam jest po dwóch rozwodach, że płaci wysokie alimenty, że przy jego twórczej, niestabilnej pracy bywa, że ledwo wiąże koniec z końcem. Z rosnącym zafascynowaniem patrzyłam na człowieka, który nie godził się na kompromisy. Żył tak jak chciał, spotykał się z kim chciał, pracował, jak chciał. Powiedziałam mu, że zadzwoniłam właśnie do niego, bo od zawsze, odkąd go znam, kojarzy mi się z jakąś dzikością, żywiołem, którego nie można ujarzmić. Zapytał, dlaczego ja tak łatwo daję ujarzmić siebie. Powiedziałam, że jest we mnie część, której poskromić się nie da. Miałam na myśli lęk. Odkąd pamiętam, czułam się najbezpieczniej w mieszkaniu matki. Zawsze też tak je nazywałam. Nigdy nie mówiłam, że idę do siebie, zawsze „do mieszkania matki”. Dusłam się tam, to prawda, ale też czułam bezpiecznie. Paradoksalnie, mimo początkowej wściekłości, poczułam się również bezpiecznie, kiedy matka i Paweł połączyli się. Przestałam czuć, że ją z nim zdradzam. Marek mówił, że na moim miejscu wyprowadziłby się do innego miasta i rozstał się z Pawłem. Przez chwilę poczułam nawet, że to możliwe, że teraz jest on i będę mogła na niego liczyć, a ponieważ tak dobrze mnie rozumiał, na pewno mi pomoże.

Plaża w Łeby była pusta. Piasek przyjemnie grzał stopy, a fale delikatnie je obmywały. Było ciepło, na niebie żadnych chmur, tylko jasne, pełne słońce. Wczesnym wieczorem zerwał się nieprzyjemny, zimny wiatr z północy.

Nie było sensu wracać na noc do Gdańska. Zaczęliśmy szukać noclegu. Mimo początku wakacji, bez problemu znaleźliśmy mały pokoik nad smażalnią ryb. Nadal był nagrany po całodziennym upale. Pod ścianą stało wąskie, jednoosobowe łóżko, dalej niska szafka z nocną lampką i drugie łóżko. Była jeszcze kanapa, a przed nią stary telewizor – pudełko. Usiadłam i zaczęłam przerzucać kanały. Marek szybkim ruchem wysunął szafkę pomiędzy łóżek, a następnie je złączył. Tej nocy kochaliśmy się. Szybka, bezmyślna miłość w pokoju śmierdzącym smażonymi rybami.

Rano zadzwoniła matka. Pytała, czy już wyjechałam, bo Hania tęskni. Kiedy usłyszała mój zaspany głos, powiedziała, że jak ja mogę, że powinnam natychmiast, jak najprędzej wracać do dziecka, bo sama wiem, jak przeżywało mój wyjazd. Tak głośno krzyczała w słuchawkę, że Marek wszystko słyszał. Popatrzył na mnie ze współczuciem, szybko ubraliśmy się i pojechaliśmy do Gdańska. Znowu nie było słów. Weszłam do jego mieszkania, żeby zabrać rzeczy. Spróbowaliśmy się jeszcze kochać, ale pocucie winy zaczęło już we mnie pęcznieć, mogłam zarazić nim i jego.

Mimo wszystko, kiedy wsiadałam do samochodu, czułam się silna i szczęśliwa. Chciałam jak najprędzej przejechać drogę do domu, uściskać Hanię, a potem pójść do Pawła i wykrzyczeć mu, że już go nie potrzebuję, że od dziś jestem wolna od tej chorej, toksycznej miłości. Oczami wyobraźni widziałam siebie i córkę w małym mieszkanku w Toruniu – duże okna, jasne meble, gwar ludzi, którzy nas odwiedzają, cotygodniowe wycieczki do Gdańska albo przyjazdy Marka do nas. Raz po raz zerkalam na telefon, przyklejony do uchwytu na szybie, czy on już tęskni, czy zadzwoni, gdzie już jestem, czy napisze, że ciągle nie zmył z siebie mojego zapachu. Jego milczenie tłumaczyłam sobie tym, że nie chce mnie rozpraszać w drodze.

Staralam się zachować spokój, ale z każdym kilometrem kielkowało we mnie nowe ziarenko niepokoju. Za Warszawą zatrzymałam się, żeby do niego zadzwonić. Kiedy w telefonie usłyszałam jego głos, poczułam, że nie mogę ustać na nogach – była w nim obojętność. Powiedziałam z wymuszonym luzem, że jestem już za Warszawą, że droga jest dobra i za parę godzin będę w domu. Liczyłam na jakieś „tęsknię” albo „kiedy się znów zobaczymy” albo chociaż „właśnie o tobie myślałem”, ale usłyszałam tylko spokojne „ok” i uprzejme „szerokiej drogi”.

Tymczasem matka rozdzwoniła się na dobre. W każdym telefonie słyszałam, że mam się już absolutnie nie zatrzymywać, tylko jechać prosto do domu, że jeżeli

jestem głodna, to zaraz, jak wejde, ona da mi obiad, że Hania robiła go specjalnie dla mnie, bo już tak bardzo czeka. Z trudem przelknęłam ślinę, wyrzut sumienia stanął mi w gardle jak twardy kamień. Próbowałam odnaleźć w sobie to uczucie, z którym wyjeżdżałam z Gdańska, ale miałam wrażenie, że należało do innej osoby, a ta osoba została gdzieś daleko, na którejś ze stacji benzynowych przy autostradzie. Do domu wracała żalosna podróbka matki, która nie była nawet w stanie wziąć odpowiedzialności za potrzeby swojego małego dziecka. Potem zadzwonił jeszcze Paweł, po raz pierwszy od trzech dni. Nie odebrałam. Nienawidziłam go za tę obojętność i chłód, ale jeszcze bardziej nienawidziłam siebie za to, że wciąż błagałam. Oszukałam go, zdradziłam, a teraz wracam, żeby na kolanach żebrać o jego miłość. Po dwóch nieudanych próbach skontaktowania się ze mną, Paweł napisał, że tęskni i że nie dzwonił wcześniej, bo chciał mi dać czas na „relaks i refleksję”. Zatrzymałam się przy drodze i zwymiotowałam.

Okolo dwudziestej pierwszej weszłam z powrotem w ciemność mieszkania matki. Hania czekała na mnie. W różowej wesołej piżamce jej malutka twarzyczka wyglądała żałośnie i smutno. Matka zaczęła wypyttywać, jak było, czy jakoś mi się ta podróż opłacała, czy nawiązałam kontakty. Powiedziała, że jest zupa pomidorowa, którą robiła z Hanią i żeby przysłała zjeść. Nie mogłam nawet spojrzeć jej w twarz. Czułam się brudna i obrzydliwa. W ustach ciągle miałam smak wymiocin. Poszłam umyć zęby, a potem zamknęłam się z Hanią w pokoju i położyłam się obok niej. Mała bacznie mi się przyglądała, jakby wiedziała, jaka jest prawda, że jej matka oszukała wszystkich i pojechała na drugi koniec Polski, żeby błagać o szczątki uczuć. Otoczyła mnie małym ramionkiem i głaskała po twarzy. Kiedy zasnęła, leżałam nieruchomo, wsłuchując się w jej równy oddech. Kiedy byłam troszkę starsza od niej, leżałam w tym pokoju, wsłuchując się w oddech matki. Rozpoznawałam, czy jest spokojny i równy, czy nie. Mocny zapach perfum, których używała przyprawiał mnie o mdłości. Chwilę wcześniej ojciec wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Siedział ze mną cały wieczór i przekonywał, żeby poszła spać, bo mama zaraz wróci. A ja wiedziałam, że coś jest nie tak. I żadne bajki puszczone ze starego magnetowidu nie przekonałyby mnie, że jest inaczej, żadna zielona galaretką z bananami, którą nieudolnie zrobił ojciec. Wiedziałam, że dopóki nie zobaczę mamy, nie zasnę. Potem ona weszła do domu, piękna, wysoka, w butach na obcasie, w pomarańczowej marynarce ze złotymi guzikami

i jedwabnej spódnicy w pomarańczowe kwiaty. Jej rude kręcone włosy wydawały się błyszczeć. Była tak piękna i tak niedostępna. Ojciec i ja patrzyliśmy na nią z uwielbieniem, a ona warknęła do niego, czemu ja jeszcze nie śpię. Poczułam, że muszę natychmiast zasnąć, wtedy ona obdarzy mnie odrobiną tego piękna, które wniosła do domu. Ale kiedy położyliśmy się razem do łóżka, zasnęła natychmiast, a ja długo leżałam zaczarowana melodią jej oddechu. Wiedziałam, że rano mama będzie siedzieć po turecku na łóżku i płakać. Będę próbowała ją pocieszyć, ale ona spojrzy na mnie niewidzącymi oczami i powie, żebym poprosiła tatę, by mi zrobił śniadanie.

Nie wiem, kiedy zasnęłam. Obudziłam się z lękiem podchodzącym do gardła. Spojrzałam na telefon, mając nadzieję, że zobaczę tam nieodebrane połączenie albo chociaż SMS. Nic. Nikt do mnie nie dzwonił ani nie pisał. Kilkakrotnie tego dnia dzwoniłam do Marka, ale wciąż nie odbierał. Późnym wieczorem, kiedy Hania już spała, udało mi się do niego dodzwonić. Był pijany. Powiedział, że jest u niego kumpel, więc nie porozmawiamy, ale że nie jestem dzieckiem, wiem, czego potrzebują

mężczyźni, więc żebym wzięła jakąś koleżankę i przyjechała do nich jak najszybciej.

Nie wstałam następnego ranka. Hania tuliła się do mnie i ciągnęła za ręce. Matka krzyczała, żebym przestała się wyglupiać i zajęła się życiem. Po południu przyszedł Paweł. Słyszałam wszystko, co do mnie mówił, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Byłam tak poniżona, że nie chciałam na siebie patrzeć. Czułam jak klatka piersiowa unosi się i opuszcza w spokojnym, miarowym rytmie, jak brzuch delikatnie zapada się – od wczoraj rana nic nie jadłam – jak powietrze mnie napelnia, a następnie opuszcza, delikatnie ogrzewając usta. Wszystko, czym byłam wydało mi się nagle wstrętne. Jak wtedy, kiedy mama – piękna, z rozmazanym po wczorajszej nocy makijażem – siedziała na łóżku i płakała. Każdy grymas jej twarzy, każdy ruch były nieskazitelnie piękne, doskonałe. Chciałam podejść i ją przytulić, schować się w jej gęstych, płomienistych włosach, ale ona wyciągała tylko swoją dłoń o długich palcach i mówiła, żebym poszła do taty po śniadanie. Szłam, ale taty nie było w domu. W lodówce w kuchni – nie wiem, czy zdarzyło się to raz czy więcej, pamiętam



fol. Matt Hoffman / Unsplash

to jako refren piosenki, zawsze taki sam, zawsze żaloszny i smutny – znajdowałam parówki. Wyciągałam je z opakowania i kładłam na wielki talerz, potem niezdarnie nalewałam keczup i jadłam palcami, bo byłam za mała, żeby sięgnąć do szuflady ze sztuccami. Któregoś razu, kiedy tak siedziałam, patrzyłam na swoje odbicie w szybie kuchennej szafki. Pomyślałam, że jestem jak mama i wysmarowałam usta keczupem jak czerwoną szminką. Spojrzałam jeszcze raz i zobaczyłam coś tak przerażająco wstrętnego, że zaczęłam płakać z żalu i strachu.

Od tego czasu poczucie własnej obrzydliwości zakotwiczyło się we mnie na stałe. A potem, kiedy stałam się nastolatką, dość odrębną od matki, ona też stała się obrzydliwa. Żyliśmy spojone ze sobą jakąś wymianą trucizn. Kiedy ojciec odszedł, stałam się dla niej jedynym żywicielem. Przez kolejne lata, jak huba na drzewie odbierała mi wszelkie pragnienia. Kiedy zaczęłam się interesować chłopcami, mówiła mi, że jestem gruba i brzydka. Czasem w żartach podczas jakichś zakupów mówiła, że bym nie stała przy niej w kolejce do kasy, bo ktoś pomyśli, że ma taką brzydką córkę. Wtedy wierzyłam, że to, co mówi jest prawdą i że w związku z tym nie mam prawa do uczuć, które u większości dziewczyn normalnie pojawiają się w tym wieku. Potem zauważyłam, że nawet, jeżeli jestem brzydka, to w sposób, który przyciąga chłopców. Jak na złość jej, stale przyklejałam się do jakiegoś, a potem opisywałam

jej moje przygody w poczuciu winy i z wielkim pragnieniem poprawy. Im mocniej pragnęłam uciec od matki, z tym większą tęsknotą do niej wracałam. Nie mogłam bez niej żyć tak jak ona beze mnie.

Paweł przychodził i pytał, co się dzieje. Nie mogłam się do niego odezwać. Czułam się zbyt wstrętna. Jak zalegający ludzkie jelito tasiemiec. Jeden żywiciel przestał mnie sycić, przerzuciłam się na kolejnego. Miałam nadzieję, że teraz będzie przy mnie Marek. A on wziął mnie za zwykłą szmatę, dmuchaną lalę, którą, kiedy się zużywa, wyrzuca się do śmieci. Ich pogarda wobec mnie stała się nagle oczywista, bo co innego można czuć wobec kogoś, kto potrafi żyć tylko kosztem kogoś innego.

Nie zadzwoniłam więcej do Marka. Kiedy po mnie więcej trzech dniach wstałam, zadzwoniłam do Pawła i powiedziałam, że z nami koniec. Poszłam na dworzec i kupiłam bilety na pociąg do Kołobrzegu. Powiedziałam matce, że biorę Hanię na wakacje. Chciałam pokazać córce morze, jego bezkres i dzikość, ale nie mogłam być za blisko Gdańska. Czy tasiemiec przeżyłby poza organizmem żywiciela?

Przyjechaliśmy na miejsce późnym popołudniem. Od razu poszliśmy na plażę. Hania stanęła nóżkami na ciepłym piasku i zapiszczała z radości. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zerwał się zimny wiatr z północy. Poszliśmy do hotelu. Tej nocy nie miałam żadnych snów.

MIRA SERAFIN

– absolwentka orientalistyki. Kocha książki, morze i baśnie.